**Rok VIII.** Lwów, Niedziela dnia 17. Kwietnia 1881 r. **Tom XII.**




Nr. 16.

PRENUMERATA we LWOWIE
Tydzień . . . . . . kwartalnie 2 zł.
— z dodatkiem powieściowym „ 2 „ 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
Tydzień . . . . . . kwartalnie 2 zł. 50 ct.
— z dodatkiem powieściowym „ 3 zł.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
*plac Halicki L. 14.*
Godziny redakcyjne od 9—11 rano.

PRENUMERATA w W. Ks. POZNAŃSKIEM
Tydzień . . . . . . kwartalnie 6. m.
— z dodatkiem powieściowym . „ 7. „
PRENUMERATA we FRANCJI, ANGLJI, AMERYCE i t. d.
Tydzień . . . . . . kwartalnie 7 frank.
— z dodatkiem powieściowym „ 8 „

# NIEWOLA TATARSKA

urywki z kroniki szlacheckiej Aleksego Zdanoborskiego

zebrał

HENRYK SIENKIEWICZ.

*(Dokończenie).*

V.

.....Wóz skrzypiał podemną i wiatr owiewał mnie świeży a chłodny. Otwieram oczy—Kizlich nie widzę: step jeno, step jako morze. Więc przymknąłem powieki, myśląc, że sen mi jasłeczka jakieś wyprawuje. Spojrzę znowu: twarz starą Chimka, marszałka Tworzyańskich przy sobie widzę, a za nim luzaków kilku. Ten zasię mówi: »Bogu niech będzie chwała, jużeś nam Waćpan oprzytomniał.« Pytam: gdzie jadę? — Do Rzeczypospolitej. — Wolnym jest? — Wolnym. — Kto mnie wykupił? — Panienka. — Gdy rzekł: »panienka«, tedy coś, jakby ogromne płakanie porwało mi się z piersi, ręce wyciągnąłem, omdlałem . . . . . . . . . . . .

Wóz skrzypiał podemną. Gdym oprzytomniał dzień później, wszystko mi Chimek powiadał. Oto JW. Tworzyański na lepszy już świat z tego lichego się przeniósł, a Marysia dziedziczką jego zostawszy, przy wuju swym prałacie mieszkała. Tam ich wieść o mej niedoli i mękach doszła, tam ona wujowi do nóg padłszy, afekt ku mnie wyznała i z wolą jego od sukymanowej mocy mnie wykupiła. . . . . . . .

Chimek Chana już w Kizlich nie zastał, któren, gdy zaraza przeszła, do miasta zwanego Eupatoria wyjechał, a Sukyman za umarłego mnie mając, za trzysta czerwonych złotych, co ze mnie zostało, odprzedał.

Chimek też myślał, że raczej umarłego dowiezie, bo przez dwie niedziele o bożym świecie nie wiedziałem, ale przecie Bóg mi życie powrócił.

Co wszystko słysząc i wyrozumiawszy, że za przyczyną dzieweczki mojej z niewoli pogańskiej zostałem wykupiony, rzewnie płakałem i takie sobie w duszy śluby czyniłem, aby dzieweczkę oną miłosierną miłować, i strzedz po wiek żywota mego. I teraz mi się zdało, jakoby mój pobyt w Krymie i niewola u Sukymana i wycierpiane męki snem były. Tak to Opatrzność sprawy świata tego urządza, iż in tempore wszystko mija, a jedno in memoria zostaje z tą wszelako odmianą, iż im sroższe były przygody, tem o nich wspominać milej. A w ten sposób nietylko acti labores, ale i dolores jucundi się stają. Że zaś człeka stanu rycerskiego Bóg czasem ciężko dojmie, to mu i sił doda, a jeśli życia pozbawi, to i tak nagrodzi. Mnie zaś anioła wybawiciela w Marysi mojej zesłał i pohańbić mi się w próbach nie pozwolił...

Jedno gdym się w nocy budził, albo ranek zaświtał, ocuciwszy się ze spania, powtarzałem sobie, że do ojczyzny jadę i Marysię widzieć będę. Co myśląc, na koń zaraz chciałem siadać, ale Chimek nie pozwalał, ile że siły żadnej jeszcze we mnie nie było. Leżałem tedy na wznak na wozie, jakby wór jaki — i tak dojechaliśmy do Mohylnej. Tam, gdy mnie starzy towarzysze ujrzeli, sypnęli się ku mnie jakby pszczoły z ula wołając: »Wiemy o tobie, wiemy! witaj towarzyszu miły!« — i patrząc na nogi moje, na których węgielki gęsto osiadły, łzami się zalewali, a jeden drugiemu powtarzał: »Czołem przed nim, bo ten jest rycerz między nami najprawdziwszy!« Potem zasię zaczęli mnie dawać co który miał, albo z łupów zdobył: więc bachmaty z rzędami, namioty jedwabne, szable drogiemi kamieniami sadzone, cekiny włoskie i tureckie, tyftyki, olstra, handziary bogate, naczynia srebrne albo zgoła złote, błamy sobole, a inny turkusów garść lub rubinów, a inny zapięcia djamentowe, tak, że na kilka tysięcy czerw. złotych skarbów mi zsypali, które na pięć wozów trzeba było zabierać. Co czynili z dobrego serca, ale tem łacniej, iż na wojnę właśnie szli, na Kozaków, Łoboda bowiem i Nalewajko poczęli rozruch na Ukrainie, za który Żółkiewski ich gromił. Potem jechaliśmy dalej. Często różne oddziały wojska nas spotykały, a niektorzy żołnierze zbliżając się pytali: »kogo wiezie?« Na co Chimek odpowiadał: »szlachcica w niewoli poszczerbionego.« Po których słowach nietylko każden zostawiał nas w spokoju, ale jeszcze, czem kto mógł, darzył. Spotkał też nas za Kijowem i sam Żółkiewski, który pochód na Perejasław symulując, przez Dniepr się przeprawić pragnął. Usłyszawszy ów wojownik sławny, co mnie w niewoli spotkało, rzekł: »Mniejszych starostwami nagradzają, o czem do króla Jegomości pisać będę.« I pierścień mnie kosztowny podarował, który dotąd na palcu noszę. Serce mi też rosło na widok jego wojsk, te bowiem lubo nieliczne i ustawiczną pogonią znużone, tak były sprawne i ochocze, że w żadnej bitwie nieprzyjaciel pola im dotrzymać nie mógł. Patrząc na tych ludzi poczerniałych od wiatru, którzy sypiali na murawie stepowej, nie jadali po dwa i trzy dni, nie zrzucali nawet i na noc pancerzy, rany prochem zasypywali, a przecież fantazją mieli bohaterską, uczyłem się pokory i myślałem: nie słuszniebym się w pychę wzbijał i o zasługach moich wiele mniemał, gdy ci w trudach takowych, nic sobie z nich nie robią i jeszcze śpiewają we-

seli, jakoby nie rozumiejąc, iż są bohaterami. O! jakże mnie żal było, że nie mogłem na konia sieść, ani pancerza i kopii dźwignąć, ani z nimi jeździć! ale jeszcze sobie węgielki ze skóry obłupywać musiałem. Rozkoszy też wielkie były wonczas na Ukrainie dla wszelkiej duszy rycerskiej. Co noc było widać łuny, a słychać surmy bojowe. Żółkiewski jako orzeł z panem Potockim, wojewodą Kamienieckim po stepach krążył, Rożyński kniaź koło Pawołoczy gromił, Jazłowiecki harce zwodził. Nalewajko, Łoboda i Sasko z czernią jako wilcy pomykali jarami. Raz też mnie czerń pijana winem mołdawskiem opadła. Tym po staremu Chimek rzekł, iż szlachcica poszczerbionego wiezie, oni zaś iskier wielkie mnóstwo, aby mnie w nocy poznać, poczęli krzesać i do Kremskiego mnie zawiedli. Tam gdy łuczywo rozpalili, poznał mnie jeden kozak essauł, któren ze mną w Krymie był i na Czaczuk-bayron został uwolniony. Począł tedy krzyczeć: »Pane! pane!« a potem: »świętego to lacha wiozą!« i do nóg moich przypadł, gdy zaś Kremskiemu opowiedział, jako im w niewoli pomagałem, inni też z czapkami do mnie przyszli, których zaraz zgromiłem, iż w posłuszeństwie Rzeczypospolitej nie trwają — Kremski zaś nietylko, że gardła mi nie odjął, ani też nic mi nie zabrał, ale jeszcze obdarzywszy, straże mi dodał. Tak to w mężu wojennym nieprzyjaciel nawet rany i męztwo uczcić potrafi, za co wreszcie Bóg pewno Kremskiego zbawieniem wynagrodził, który też nie był takim Rzplitej nieprzyjacielem, za jakiego go mieli...

Na całej Ukrainie, ba! w całej Rzeczpospolitej wrzało jakby w ulu i dużo klęsk Bóg na ziemie nasze spuścil, ile że przy wojnie szła i piekielnica zaraza. Gdy animus innemi sprawami był zajęty, mało kto na nią zważał, ale ja ją własnemi oczyma z wozu mego oglądałem. Szła ta zaraza nie ławą, ale jako i w Krymie, miejscami ludzi napadając, pojedyńcze miasteczka, wsie i osady zabierała. Byli też tu i owdzie burmistrze powietrzni mianowani, a po osadach kupy się gnoju paliły, dymiąc smrodliwie i obficie, którego zapachu zaraza znieść nie może. Nocami parobcy smolni pilnowali onych kup, by nie zgasły. Lud w przewidywaniu klęsk procesje czynił, na których chorągwie z trupiemi głowami bywały noszone. Bóg przytem ślepotę jakowąś na ludzi spuścił, bo i zgody między możnemi nie było, którzy miasto na koń siadać, jako poprostu i uczciwie można było uczynić, sejmy sprawami swemi mącili. Nieprzyjaciel gromadził się na granicach, a siły były dziwnie rozstrzelone, w czem zawsze było nieszczęście nasze. Co mówię dla tego, że nie masz żołnierzy, którzyby kopijnikom naszym opór dać mogli, a jakom widział potem i janczarów tureckich i piechotę szkocką i szwedzką rajtarją przez nich łamaną, tak twierdzę, iż przyrodzenie hojniej nas w wojenną sposobność, niżeli innych, opatrzyło. My jednak stawiamy tysiąc ludzi, gdzie inni stawią dziesięćkroć. . . . . . .

Czemu się zaś tak dzieje, tego arkanów chyba w woli bożej szukać trzeba, gdyż każdemu łatwiejszem się powinno wydawać na koń siąść, niż zawieruchy językiem czynić. I chwała ztąd większa i zabłąkanie animi mniejsze i zasługa doskonalsza i zbawienie pewniejsze.

Człowiek przechodzi jako podróżny po świecie, więc o siebie nie powinien dbać. Amen. . . . . . . . . . . . .

. . . . . . . . . . . . . . . . . .

## VI.

. . . . . . . . . . . . . . . . .

. . . Święty Boże, Święty mocny, Święty a nieśmiertelny, bądź pochwalony w dziełach Twoich. Kędy oczy moje łzami zalane obrócę, tam Cię widzę, a kędy Cię widzę, tam Cię wyznawam. Tyś na firmamencie ognie niebieskie zawiesił, Ty słońcu z morza wstawać każąc, dzień na górach i dolinach czynisz. Na chwałę Twoją bory szumią i trzody po polach dzwonią; na chwałę Twoją wojska po stepach ze rżeniem koni jeżdżą i wszelka ziemska rzeczpospolita cześć ci oddawa. A iżciś mnie sługę swego opuścił i szczęścia mnie pozbawił i w tem bądź pochwalony! Na wojnach zbiegł wiek żywota mego i w trudzie pobielały me włosy. Tam Panie, gdzie działa ogniem śpiewały majestat Twój, a w dymach grzmiało imię Twoje, tam byłem. I w Multanach i na Inflanciech płynęła krew moja, a dziś jestem stary i przygasłe źrenice ku ziemi się już zwracają, a ciało wiecznego spoczynku pragnie. Nie ziemskie dobra, nie bogactwa, honory i godności na tamten świat ze sobą poniosę, bom oto ubogi jest jak byłem. Ale Ci Panie tarcz moją pokażę i powiem: »patrz — nie splamiona, a splamiona, to jedno krwią moją. Imiem nieskalane przechował, ducham nie poddał — i gnąc się z bolu — przeciem się nie złamał.«

---

Na tem kończą się urywki z pamiętnika Aleksego Zdanoborskiego. Okazuje się z tej kroniczki, iż ów »książę niezłomny«, który koniuszym tatarskim nie chciał zostać, życie miał bolów pełne. Zgodnie z duchem czasu do imienia wielce był przywiązany. Z Marją, jak to z pobieżnej wzmianki końcowej widać, rozdzieliły go losy. Zapewne też wcale się już nie ożenił. Jakoż ze wszystkiego domyślać się godzi, iż szlachcic ten umarł bezpotomnie i był ze swego rodu ostatnim.

# BUCKLE.

Wznoszenie pomników, to jedno z najpowszechniejszych upodobań naszego czasu — pomników z marmuru, z bronzu i z kart zadrukowanych. My, ludzie dni najnowszych, my pozbyliśmy się tylu cnót dawnych, że chętnie popisujemy się jedną jeszcze, która nam pozostała — cnotą *wdzięczności*. Lubimy okazywać, że umiemy cenić zasługi zmarłych. Skutkiem tej cechy naszego charakteru, jest mnożenie się bezustanne bibliograficznych szkiców i pamiętników. Wkrótce chyba trzeba będzie oznaczyć premium za odnalezienie człowieka, którybу się w przeszłości czemś zasłużył, a który jeszcze w życiorysie nie został unieśmiertelnionym przez druk dzisiejszy. Dla tego też dziwić się można tem więcej, że jeden z najoryginalniejszych umysłów jakie kiedykolwiek ziemia angielska wydała, Tomasz Buckle, przed dwoma dopiero laty doczekał się bibljograficznego studjum o życiu swojem i swojej działalności. Urodzony w r. 1821, umarł Buckle w 1862; siedmnaście więc okrągłych lat upłynęło, zanim Anglia przypomniała sobie, że ma do załatwienia względem niego dług honorowy.

Obowiązek ten wypełnił H. Huth, puszczając w świat dwutomowe dzieło o genialnym pisarzu, który *wiele* dokonał, i który dla tego tylko nie dokonał *więcej*, że śmierć przedwczesna przerwała jego pracę.

Oprócz kilku szkiców (essay's), Buckle pozostawił po sobie jeden fragment tylko: pierwsze tomy swojej „History of civilization in England.“ Dwa te tomy nie wypełniły nawet całkowitego wstępu do właściwej historji. Dzieło skończone byłoby olbrzymiem co do rozmiarów; sam Buckle przy podawaniu ceny, chwieje się pomiędzy 11 a 20 tomami.

Już to samo, że autor podobnie małą cząstką ogólnej całości, zdobył sobie olbrzymie stanowisko w literaturze powszechnej, dowodzi, jak radykalne przymioty posiadał ten wielki umysł.

W Niemczech, we Francji, gdzieindziej i u nas, w kołach ludzi prawdziwie wykształconych, Buckle jest zarówno popularnym, jak w Anglji. Jest też Buckle — jak wiemy — tłomaczony na wszystkie prawie europejskie języki. To wszystko daje miarę sławy tego człowieka.

Lecz pomówmy o nim bliżej, trzymając się w tym względzie wskazówek, podanych przez jego biografa.

Buckle w pewnej mierze był zupełnym przeciwnikiem zmarłego niedawno Tomasza Carlyle'a. Ten uprawiał kult bohaterów; w jego oczach wielkie pojedyńcze jednostki były właściwie wszystkiem w świecie; cenił tylko *indywidualność*; cały ruch na ziemi uważał za prosty tylko skutek działalności wszelkich umysłów. Dla Buckle'a jednostka stanowi tylko rzecz podrzędną; obserwuje on nie indywidualność, ale masy. Carlyle nie zapominał nigdy o *biografie*, Buckle o *statyście*. Carlyle był *indukcyjnym*, Buckle *dedukcyjnym*; tamten wpatrywał się w *szczegół*, ten — w *całość*. Dla Carlyle'a obecność była sumą wszystkich przeszłości; znakomita jednostka sumą wszystkich poprzednich pokoleń. Buckle człowieka robił zależnym od otaczających go po urodzeniu warunków, od mieiscowości nawet, w której przyszedł na świat — inaczej mówiąc — traktował go jako *pojęcie zbiorowe*.

Buckle masę właśnie uważał za zależną od anteriorów; że jakaś jednostka się potem od nich wyzwoliła — to nic nie wpływało na zmianę praw zasadniczych, których istotę wykazywał przy pomocy statystyki. Dwie myśli przewodnie kierowały Buckle'm. Pierwszą z nich była ta, że nie serce, lecz umysł, nie moralność, lecz in-

teligencja popycha ludzi do postępu; drugą — że ludzkość zbiorowa nie posiada żadnej tak zwanej *wolnej woli*, a tylko, że jej działalnością kierują stałe, określone prawa. Te ostatnie przeglądały jego zdaniem z danych statystycznych, które on wybierał z przeszłości i grupował. Fakty uważane powszechnie za zrządzenia prostego trafu, występują tu na widownię z dziwną prawidłowością. Dowiadujemy się ztąd, że w ciągu roku zawsze ta sama liczba ośmdziesięcioletnich starców wstępuje w związki małżeńskie i że co rok mniej więcej ta sama liczba ludzi wrzuca listy bez adresów do skrzynek pocztowych. Buckle uważa całą masę ludzkich czynów za *postanowioną naprzód*, jednak z tem wszystkiem daleki jest zupełnie od wiary w fatalizm, ponieważ jednostce przyznaje wolną wolę. Gdy pewne rzeczy mają się spełnić, wówczas podrzędnem jest pytanie: *na kim* mianowicie się spełnią? Znając cyfrę ludności i stopień dobrobytu danego kraju, możemy przepowiedzieć ilość małżeństw, mających się tam zawrzeć w ciągu całego roku; wszelako, bez znajomości bliższych stosunków, nie jesteśmy w stanie przewidzieć, *które* mianowicie indywidua wejdą w związki małżeńskie.

Studjując po tem wszystkiem życie samego Buckle'a, ujrzymy w nim jasno i wyraźnie myśliciela, który nie uznawał *przypadku* ale też i na jego miejsce nie stawiał żadnej opatrzności, tylko szereg praw odwiecznych, niezmiernych, *przyrodzonych*. Przy dochodzie dość znacznym 1500 funtów szterlingów rocznie, którym go obdarzyło dziedzictwo, wydawał tylko część swojej *renty*, chcąc ją tym sposobem podnieść do całych 3.000, ażeby wtedy ożenić się dopiero. W oczach jego małżeństwo było wytworem *dobrobytu*. Jako na takie tylko mógł się na nie zgodzić. O bogatą dzieweczkę nie mógł się starać, gdyż — zdaniem jego — wymagał tylu moralnych przymiotów od swojej żony, że dopominać się jeszcze i pieniędzy nie miał żadnego prawa.

Nic nie czynił bez namysłu, był we wszystkiem poważnym, chciał wszystko, o czemkolwiek pisał, zbadać własną myślą i okiem, nie znał sfery, którąby uważał za zbyt niską do tej rzeczy; chciwość wiedzy nie miała u niego granic.

Buckle był samouczkiem w pełnem tego słowa znaczeniu. W dzieciństwie jego słabowitość przeszkadzała mu prawie zupełnie do uczenia się czegoś; matka wprawiała go w robienie pończoch dla usunięcia go od pracy umysłowej; kilka razy próbowano posłać go do szkoły, ale słabowita kompleksja jego nie mogła znieść natężenia myśli. Ojciec zmusił go do wstąpienia do swego kantoru; wkrótce jednak umarł. Buckle teraz udał się w podróż z matką i siostrą; to pokrzepiło jego zdrowie, i wtedy, zaraz po powrocie — po krótkiej tylko jeszcze próbie, czy nie będzie mógł poświęcić się jakiemu praktycznemu fachowi — młodzieniec stanowczo zdecydował się oddać studjom, czytaniu i nauce.

Oczytanie Buckle'a przeszło po prostu wszelkie zwyczajne granice. „Dwie jest rzeczy — zwykł był on mawiać — których sobie wcale nie żałuję — książek i cygar.“ Na jednomiesięczny pobyt w Bretanii wziął z sobą następujące dzieła i przeczytał je wszystkie.

„Montesquieu“ (cały); dramaty *Shakespeare'a* i *Corneille'a* „Reformacja i Liga“ *Capefigne'a*; „Ludwik XIV“ *Voltaire'a*; „Odpadnięcie Niderlandów *Schillera*; „Biografia Cramner'a“ *Todda*; „Komentarze do prawa angielskiego“ *Blackstone'a*; „Historja angielskiego prawa“ *Reeve'a*; „Starożytność Brytanii“ *Tremenville'a*; „Kościelna architektura w średnich wiekach *Caumont'a*; „Budownictwo normandzkie“ *Knight'a*; „Podróż po Normandji“ *Davsona Turnera* — wreszcie „Podróżne notatki“ *Murray'a*. Najulubieńszą jego rozrywką były *szachy*, w której to grze w końcu nabrał wprawy mistrzowskiej. W 19 roku życia pokonywał najsławniejszych w świecie graczy szachistów, Kozeryckiego i St. Amant'a, z których każdy dawał mu *for* po jednym pionku; w 7 lat później grał znowu w Paryżu z Kozeryckim na równe siły i pobił go zupełnie. W roku 1843 pokonał również w Londynie Staunton'a, w Berlinie Kossaka, Carisien'a, Bessel'a, Scherpe'a, Häuslera i Hansteina. Raz tylko udało się odnieść nad nim zwycięztwo i to z największym trudem dwom najznakomitszym szachistom berlińskim: Bledow'owi i Heydebrandt'owi. Zazdrośnik pewien z Drezna chciał sławę jego talentu przyćmić. Na to Buckle zaproponował mu partję o 500 dolarów, lecz rywal wyzwany w ten sposób na pojedynek — nie stanął do apelu.

Pewnego dnia w Rzymie Buckle grał z kimś według zwyczaju w jednej z tamtejszych kawiarń w szachy. Po ukończeniu partji, jeden z graczy wyzwał go do nowej walki. W nadziei, że młodziutkiego Anglika *zmatuje* z kretesem, zaproponował grę o zakład: o jednego *skuda*. Buckle przyjął. Wówczas Włoch go namawia: „a może o dwa skudy?“ a gdy Buckle przystał i na to, dodaje jeszcze: a to możebyśmy lepiej grali już o *pięć* skudów?“ Buckle'a rozgniewała już ostatnia propozycja, z gniewem więc odrzekł: „Jeżeli chcesz pan, to gram z panem i o *sto* chętnie!“ Ogłupiony tem Włoch nieco, spytał się Buckle'a o jego nazwisko. „Buckle“ — usłyszał odpowiedź. A jak to się pisze? zagabnął jeszcze. Gdy Buckle i tej jego chęci uczynił zadość, Włoch zrywając się... „aaa! Bucclé!“ zawołał — w takim razie nie gram wcale z panem!“

Szybko... i rozumnie!

Dla kogoś co czasu swego tak oszczędzał, musiało być nie małą ofiarą zapisanie się w poczet członków filii wielkiego turnieju szachistów, który powstał z okazji pierwszej londyńskiej wystawy powszechnej. Każda gra konkursowa rozstrzygała się przez zwycięztwo w siedmiu kolejnych partjach; ponieważ jednak Buckle'owi czas nie pozwalał zapuszczać się w tak długie szermierki, zrobiono co do niego wyjątek i zgodzono się na cztery partje. Buckle zwyciężył Löwenthal'a po sześciu, siedmiu, i dziewięciogodzinnych partjach; Andersena po partjach piętnastu; z sześciu partyj, które rozgrywał z Williams'em, wygrał *trzy*; ze Stauntonem, który wówczas znajdował się w Brighton, stoczył walkę za pomocą telegrafu i odniósł również zwycięztwo. Jednem słowem, z okazji turnieju, o którym wspomnieliśmy, okazało się, że Buckle w 1851 r. był prawdopodobnie najlepszym szachistą nietylko w Anglji, ale i na całym świecie.

Za cokolwiek Buckle wziął się, to musiał już zupełnie, bez względu na wszelką trudność posiąść i przyswoić sobie. W jego słabem ciele mieszkał duch pełen energji. Ale że ten tak bogato od natury uposażony człowiek umiał nietylko *myśleć*, lecz i *czuć* także, okazuje się to jasno ze stosunku jego do matki, według tego, jak nam to biografia Huth'a przedstawia. Nazywał ją zwykle swoją „drogą Jenny“; ona miała oddawna wiarę w jego wielkość. Była chorowitą — czuła zbliżający się swój koniec i żywiła tylko w piersi jedno gorące pragnienie: aby dożyć pojawienia się z druku pierwszego tomu dzieła swojego syna.

Miss Schireff, przyjaciółka pani Buckle, opowiada, że ta nie spodziewała się, aby jej Henryk książkę swoją poświęcił. Dedykacja wzruszyła do tego stopnia p. Buckle, że w dniu, w którym przeczytała ją po raz pierwszy, nie słowami lecz łzami wskazywała wyrazy, kóremi do niej publicznie przemówiła miłość synowska i wdzięczność.

Syn był ciągle na straży przy matce podczas jej obłożnej choroby, a matka znowu jakby majacząca w febrycznej malignie, zaczynała zaraz mówić przytomnie, ile razy ujrzała go wchodzącego do swojej sypialni.

Dnia 8. marca 1859 roku pisał Buckle do pani Woodhead: „Po co mi sława, ta, któraby z niej mogła mieć radość, w oczach moich umiera“. 1 kwietnia tegoż roku pani Buckle zakończyła życie. Syn jej zrobił później uwagę pewnemu współpracownikowi amerykańskiego pisma, „Atlantic Monthly“, że wierzy w byt zagrobowy, i że życie stałoby mu się nieznośnem, gdyby potrzebował przypuścić, że z pewną osobą — miał na myśli wyraźnie swoją matkę — rozdzielił się już na wieki. Ten ton głębokiej miłości Buckle'a do matki, zdaje się odzywać znowu w jego mowie, którą w d. 13. marca 1858 r. wypowiedział w *Royal Institution* „o wpływie kobiet na postęp wiedzy.“

„Ośmielam się — mówił sam — utrzymywać, że ci, którzy podobnego wpływu (kobiet) nie doświadczyli, mają w naturze swojej zawsze coś *nierozwiniętego* i *przytępionego*. Znajdujemy w ich umyśle jakieś zimno tonu i doszukujemy się w nim napróżno tego gorącego ognia, tego zapału, wypływającego z głębi i z wnętrza, który z naszem pojęciem w geniuszu koniecznie się zespala.“

O stronie duchowej Buckle'a podaje rzeczona biografia bardzo interesujące uwagi i wnioski. Najbardziej się starał o uszlachetnienie swego stylu i wyuczenie się języków. W r. 1850 znał już ich *dziewiętnaście*; angielski, niemiecki, francuski, włoski, hiszpański, portugalski, holenderski, duński, rosyjski, szwedzki, flamandzki, walloński, islandzki, fryzyjski, maoryjski, anglosaski, łaciński, grecki i hebrajski.

Jak pracował nad urobieniem swojego stylu, to wnieść można z niektórych notatek jego podręcznego dziennika: „Czytałem Burke'go dla stylu.“ — „Wypisałem sobie uwagi o stylu z Whately'ego i Herberta Spencera.“ — „Zacząłem czytanie angielskiego słownika Johnson'a, dla rozszerzenia zapasu wyrazów mojej mowy.“ — Czytałem dzieła Miltona, dla poprawy stylu — głównie dla nabycia wyrazów, których nie znam...“

W przygody wogóle żywot Buckle'a był bardzo ubogim. Jego napaść na sędziego Coleridge, który pewnego pół warjata, za wyrażenie jego, ubliżające chrześcianizmowi, kazał zaprowadzić do kozy i stawić przed sąd przysięgłych,

*

pokłóciła go zarazem z synem Coleridge'a, gdy ten po śmierci swego ojca, starał się pamięć jego zrehabilitować. W jednym liście do panny Shirreff Buckle broni swojej gwałtowności, z jaką powstawał przeciw Coleridge'owi. „W żadnym razie — pisze między innemi — nie miałem potrzeby używania delikatnych i ciepłych wyrazów; nie myśląc wcale kontentować się tem, aby być w stylu swoim *gentlemanem*, starałem się raczej o to, aby pisać jak *mężczyzna.*" — Jakże ściśle wywiedział się wprzód o wszystkich szczegółach sprawy Coleridge'a, zanim wystąpił przeciwko niemu! Było to równie wystudjowanem i zgłębionem, jak wszystko, co pod krytykę swoją podciągał. Dla tego, aby dla książki swojej potrzebne dane, tyczące się Ameryki, zebrać na miejscu, chciał przecież jechać do Ameryki.

Podróżował chętnie, uważając podróż za bardzo pouczającą dla siebie, i dla tego jeszcze, że było to zarazem jedynym środkiem odciągnięcia go od biórka, przy którem pisał.

W 1861 r. 20-go października, wyjechał Buckle, w towarzystwie młodych synów swojego przyjaciela Huth'a (jeden z nich jest właśnie biografem jego) w podróż na wschód. Przez Egipt i Nubię szła droga do Palestyny. 23 maja 1862 r. w Damaszku zapadł nagle na febrę tyfoidalną. Będąc wielkim przyjacielem dzieci, doznawał prawdziwej rozkoszy, że mógł chłopców, którzy z nim czas przepędzali, nauczać i troskliwie opiekować się nimi. Na kilka dni przed śmiercią, nosił się jeszcze z planami nowych podróży. Niestety! trzeba mu było odbyć jedną jeszcze tylko... do krainy „z której żaden nigdy nie wrócił wędrowiec."

Pozostawił po sobie swiatu jedyny *szkic*, wystarczający jednakże na to, aby imię Buckle'a unieśmiertelnić i natchnąć potomnych czcią dla myśliciela, który — źle czy dobrze pisał w szczegółach — dał w każdym razie miarę: *jak należy pisać historję.*

---

# SERBOWIE ŁUŻYCCY.

Są drobne społeczeństwa, dla których kalendarz, w języku narodowym wydany, stanowi fakt nadzwyczajnej doniosłości i witany bywa z uniesieniem, z jakiem gdzieindziej ledwie arcydzieła witają.

Na rok 1881 wyszedł w Budyszynie, w Saksonji, kalendarz dla dolno-łużyckich Serbów: »*Pratyja za dołojzno-łužyskich Serbow*« nakładem ziomka naszego i literata p. Alfonsa Parczewskiego, a zredagowany przez zacnego proboszcza budyszyńskiego ks. Michała Hórnika.

*Pratyja* należy do wydawnictw *Maćicy Serbskiej,* mającej siedzibę swoją w Budyszynie i będącej *palladium* tego małego ludku, liczącego dziś przeszło 162.000 głów mężkich i żeńskich...

Drobny to szczątek wielkiej i licznej niegdyś gałęzi Słowian zachodnich, znanych w nauce pod ogólnem imieniem Słowian połabskich (t. j. nadelbiańskich), zwanych tak od Elby, którą Słowianie nazywali Łobje, Łabą.

Inni uczeni dają im ogólniejsze imię Słowian baltyckich, zaliczając tu jeszcze Pomorzan, owych Lechitów nadmorskich, co zuchwale opierali się połączeniu z nadwiślańską bracią, aby w końcu wpaść w nienasyconą paszczękę teutońskiej hydry...

Lechitami byli także i pozostali Słowianie baltyccy — jest to pewnik, stwierdzony przez naukę na podstawie głębokich badań lingwistycznych i etnograficznych; Lechitami więc byli najbardziej na zachód wysunięci Bodrycowie (Obodryci), plemiona Lutyków, Sztoderanów, właściciele ziemi, na której dzisiaj stoi wszechgermańska stolica, Rugianie na wyspie Swantewita, nakoniec Serbowie i Milczanie, przodkowie dzisiejszych Serbów łużyckich.

Było to ciężką dla tych ludów klęską, iż nie chciały i nie umiały kojarzyć się między sobą, że żywot pędziły w smutnych rozterkach i waśniach sąsiedzkich, kiedy trzeba było jednoczyć się, organizować i myśleć o wspólnej obronie przeciwko wspólnemu a nieubłaganemu wrogowi, który szedł zbrojny nie tyle lepszą bronią, wyższem męztwem, ile doskonalszą organizacją wewnętrzną i świadomością swych celów zaborczych.

Dziwna rzecz, Niemcy średniowieczni, żyjący w ciągłych zatargach wewnętrznych, ustawicznych wojnach domowych, zapominają o nich, ilekroć idzie o wyprawę zaborczą lub choćby tylko łupieżką.

Jest to lud, jak ktoś powiedział, niesłychanie pochopny do uniesień i wszelkich ofiar, ilekroć idzie... o obdarcie sąsiada.

Słowianie zachodni nie mieli tego rozumu politycznego, czyli raczej — nazwijmy to właściwem imieniem — chytrości politycznej; ztąd w trzechwiekowej walce swej z przemocą zdobywców germańskich widzimy wytrwałą ale bezskuteczną obronę, świetne czyny pojedyńczego męztwa, poświęcenie patrjotyczne niekiedy bez granic, a obok tego zbiorową nieudolność i porażkę na wszystkich punktach.

W XI wieku zakończył się ten bój olbrzymi szeregiem klęsk niepowetowanych i rozpoczęła się inna walka pokojowa, bezkrwawa, ale niemniej okrutna i nieludzka.

Germanizm zgniótł, zmiażdżył, zgnoił na mierzwę ludność miejscową, co do XVI wieku w życiu społecznem przechowywała jeszcze znamiona swej odrębności etnograficznej, coraz bardziej gubiąc je w pochodzie, aż wreszcie reformacja Lutra zastała nad Elbą i Odrą ludność wynarodowioną, której niezadługo łatwiej jeszcze przyszło rozstać się z wiarą ojców i dziadów, tak jak rozstała się była z narodowością przodków dalekich.

Dziś ze zdobywców i podbitych wytworzył się jeden naród, pruska gałąź teutonizmu, która dokonała za dni naszych zjednoczenia wielkiej ojczyzny germańskiej a która mimo to w oczach innych Niemców tak licznym a zasłużonym podlega zarzutom.

Tylko na gruncie słowiańskim mogło powstać coś tak potwornego jak „Prusak", mawiali profesorowie w Getyndze, jeszcze przed rozstrzygnięciem wewnętrznej walki w Niemczech w r. 1866; właściwie powinni byli powiedzieć, że tylko w tradycji ciemięztwa i wynarodowiania pokonanych mógł wychować się naród tak militarny, dumny i samolubny...

Niepojętym, niesłychanym prawie cudem zachował się drobny szczątek owej słowiańszczyzny lechickiej zachodniej, wysepka w oceanie germanizmu, Serbowie łużyccy, rozerwani politycznie między królestwa pruskie i saskie, językowo na górnych i dolnych Łużyczan, religijnie na katolików i ewangelików!...

Garść ludu wiejskiego, prowadzona duchowo przez setkę kapłanów i drugą setkę nauczycieli wiejskich, kilkunastu a w najlepszym razie kilkudziesięciu inteligentniejszych ludzi różnych zawodów — ośmiela się stać wiernie przy tradycji i języku pradziadów z zamierzchłej przeszłości jeszcze w XIX wieku i to nawet w dniach po Sedanie, kiedy germanizm, zda się, uwierzył, że mu cała Europa w imię cywilizacji łupem się należy.

Niejeden snadź powie, co światu po tym marnym szczątku zatraconej od wieków narodowości, lepiej byłoby może, aby już raz ta garstka rozpłynęła się w czterdziestomilionowej powodzi...

A jednakże znajdują się nawet Niemcy, rozumie się w bardzo szczupłym poczcie, którzy bynajmniej nie nastają na gwałtowne zgermanizowanie Łużyczan; wiedzą oni dobrze, iż hufce odstępców swej narodowości przysporzyłyby niemczyźnie wielu przybranych synów, ale więcej jeszcze wyrzutków społeczeństwa.

Lud łużycki jest pracowity, skromny, uczciwy, rzetelny, pobożny, przywiązany do mowy ojczystej, z którą nierozłącznie przejmuje powyższe, tyle cenne przymioty.

W cichym zakątku wiejskim, w siołach saskich, w *Błotach* nad Sprewą żyje w pilnej pracy około roli i gospodarstwa, duchowo karmi się tradycjami ojczystemi, słowem Bożem, podawanem mu w kościele w języku również ojczystym; reszty dopełniają nieliczne ale dobre książki narodowe, przez szczerych patrjotów pisane.

Jest to skromna, uboga strawa duchowa, ale daje mu silną, trwałą a czystą, szlachetną podstawę; zgermanizowany, postradałby odrazu tę podstawę.

W zamian za to otworzyłby się dla ludu owego upust i popłynęłaby nań powódź olbrzymiej, bogatej kultury niemieckiej..

Czy jednakże w powodzi tej potrafiłby wyłowić zdrowe, pożywne pierwiastki, czy nie otrułby się mętami? — na to pytanie nie ośmielamy się odpowiedzieć przecząco.

Ludzkość nie ma co życzyć sobie zgermanizowania Serbów łużyckich, choć się może istnienie ich w dzisiejszej odrębności anomalją niejaką wydaje.

Świat nie potrzebuje się martwić tem, iż germanizm nie może pozbyć się myśli, że z ogromnego ludu, strawionego całkowicie pozostała drobna kostka, która tkwi mu w gardle i Bóg wie jeden, jak długo jeszcze tkwić mu będzie...

*B. G.*

---

# SMUTNA WIEŚĆ

przez

BOLESŁAWA JABŁOŃSKIEGO

(tłumaczenie z czeskiego).

Jedzie rycerz z pod Pragi
Tam gdzie słońce się schyla,
Pod nim koń ledwie dysze
I przystaje co chwila.
A na skraju dąbrowy
Jeździec konia powstrzyma,
Westchnął i po przebytej
Drodze powiódł oczyma:

«Wolałbym ja tam zostać
Gdzie płynęło krwi tyle,
Niechby zakwitł kwiat polny
I na mojej mogile...
Wieleś zaniósł, mój koniu,
Dobrych nowin do domu —
Dziś wieść niesiesz bolesną
Pełną smutku i sromu.

Biada tobie, mój ludu,
Złą wieść niosę w te strony:
Będziesz ty miał macochę
Zamiast matki rodzonej.
Biada wam! już ostatnią
Wychyliliście czaszę,
Zamiast wino z niej spijać,
Pić będziecie łzy wasze!...»

Rycerz dalej pomyka
Przez wsie, góry i wody,
Z ciężkiem sercem się zbliża
Do rodzinnej zagrody.
Jak go tylko rodzina
Z dworu oknem zoczyła,
Bieży k'niemu w radości
Że się wojna skończyła.

«Skończyła się, jak gaśnie
Skra skrzesana z kamienia —
A po wojnie tej wieczne
Nam zostaną wspomnienia!
Skończona! — bitwą straszną
Pod stołecznych bram progiem,
Tam to po raz ostatni
Nasi starli się z wrogiem.

Jako lwy tam walczyli
Dzielni bracia z Morawy;
Krew potokiem płynęła
Do dalekiej Wełtawy.
Trupy na Białej Górze!
Wyginęła młódź nasza —
Gwiazda zbladła nad nami...
Wróg zwycięztwo ogłasza!»

Usłyszała to siostra —
Smutnie głowę zwiesiła;
Usłyszała to matka,
I twarz łzami zrosiła,
A gdy brat to usłyszał,
Wielkim gniewem wybucha;
Gdy to ojciec usłyszał —
Padł na łoże bez ducha.

*Czesław.*

---

## Kronika Tygodniowa.

Spotkałem w tych dniach znajomego mi konsyliarza.

— A, co to pan radca taki wzburzony?

— A co? — mówi zatrzymując się przedemną — wybiłem dzieci, panie dobrodzieju i przykro człowiekowi... Szczególniej ta mała Anielka, krzyczy mi w niebogłosy.

— Jakże można, dwuletnie...

— Cóż chcesz, kieruję wszystkie na artystów.

— Na artystów w ten sposób?

— Tak w ten, niech sobie głos wyrabiają. Trudna rada, serce boli, ale gdy idzie o ich los, wszelkie uczucia na bok...

Spojrzałem na konsyliarza, czy nie zwarjował... Nie, wzrok jego pewny choć groźny.

—A cóż chcesz. Czyj dzisiaj lepszy los jak nie artystów? Kogo dziś więcej adorują, kogo pod obłoki wynoszą, kogo obsypują złotem, kim się zajmują, jeżeli nie artystami. Proszę cię, na co ja ich mam oddawać do szkół i do Uniwersytetu, na co mają ślęczyć nad książkami, tracić zdrowie, aby dziewczyna poszła gdzie na nauczycielkę ludową, a chłopak na bezpłatnego auskultanta? Ooo, na to mię nikt nie namówi... Głos dzisiaj jest przedewszystkiem; niech się drą od rana do nocy, niech im się płuca wydymają, a ja z nich porobię naprzód cudowne dzieci. Anielkę za dwa lata wprowadzę na koncerta, Jadwinię każę uczyć grać na fortepianie i także puszczę na pokaz publiczny, chłopaków zaś, panie dobrodzieju, do teatru...

— Panie radco — mówię na to — pan radca żartuje.

— Daję słowo, że nie... Pójdę do jednego z naszych przywódzców artystycznych, ukłonię mu się ładnie, żeby wziął Anielkę w opiekę i już ma przyszłość zapewnioną. Dziś panie dobrodzieju nic, jak tylko reklama. Poczciwi gazeciarze nasi wydrukują że to jest gieniusz i będzie gieniusz... Zrobię podanie do sejmu, do Rady miejskiej i gdzie tylko można, dadzą stypendjum na dalsze kształcenie gieniuszu; pojedzie za granicę, przywiezie świadectwo jakiego Lampertiego, czy tam innego grającego geniusza i los zapewniony.

— A jak pokaże się, że nie ma głosu?

— To będzie artystką muzyczną i jako uczennica sławnej potęgi da tu koncert, da tam..

Roześmiałem się w oczy konsyliarzowi na takie dictum.

— Panie radco — mówię — pan się unosisz — trzeba mieć talent...

— Będzie miała, dlaczego nie, jak gazety roztrąbią. A jeżeli rzeczywiście nie da się zrobić z niej wirtuozki, to niech idzie na artystkę dramatyczną... Dlatego, panie dobrodzieju, biję, niech się nauczy giestykulacji i dobrego udawania uczuć, a także będzie miała los...

— Panie radco, jak można tak profanować sztukę.

— Cóż chcesz, kiedy to jedyny chleb dzisiaj. Patrz ile lat ja pracuję? — trzydzieści... i co mam? — dwa tysiące reńskich płacy. Proszę cię, rozpatrz tu się we Lwowie i poszukaj takich, którzy pobierają cztery albo pięć tysięcy rocznie — policzysz ich na palcach. A jednak między nimi są ludzie wysoce wykształceni, profesorowie, prawnicy, technicy, pisarze, których dzieła znajome są i cenione nie tylko u nas, ale i za granicą. I cóż mają z tego? — tyle że nie umierają z głodu. A tu młody człowiek wstąpi do teatru, ma się rozumieć bez żadnych studjów, bez żadnych prac przygotowawczych i w rok, dwa, wielki artysta. Płacą więcej niż hofratowi, składają wieńce, pierścienie, po gazetach trąbią, gieniusz, pierwszorzędna gwiazda i tłum klaszcze...

— Naturalnie — przerywam — każden talent się ceni...

— Jaki talent? — wykonawczy... dziękuję za taki gieniusz... A teraz proszę cię, postaw obok niego kompozytora i autora — co on ma za swoje utwory,... za te arcydzieła, któremi ludność się karmi, na których wzrastają społeczeństwa! Pracuje parę lat nad swojem dziełem, przewertuje tysiące tomów — straci wzrok i zdrowie i cóż? Księgarz wydający tę jego pracę zarobi trzy razy tyle co on, drukarz, pewnie tyle co autor... Dalibóg nie warto być niczem jak tylko artystą... Wszystkie moje bębny forsuję na artystów. Życie im przejdzie spiewająco, wśród adoracji i oklasków, nie złożą kapitałów, to przynajmniej użyją, a że po śmierci o nich zapomną — wielka rzecz... co umarłemu po kadzidle!...

— Za pozwoleniem, kochany radco — mówię po chwili — pan tu masz kogoś na wątróbce...

— Mam, rzeczywiście, brak miary u naszego społeczeństwa, przy ocenianiu zasługi... Ot kilkanaście lat zbieramy składki na pomnik dla największego poety naszego i nie możemy się zdobyć na fundusz odpowiedni, a tu niech tam ktoś gdzieś potrzebuje wsparcia, to zaraz gwałt, agitacja, koncerta, historje, datki, ubolewania, i sypią się guldeny setkami.. Dobrze, zgadzam się na to, że w nieszczęściu należy się pomoc, tylko gdzie miara zasług?... A ileż to już takich artystów i artystek wypromowaliśmy naszą kieszenią i naszem współczuciem i co z nich mamy? Idą w świat szeroki, stają się kosmopolitami i nie chcą nas znać więcej... Proszę cię, policz, ile polskich spiewaków i spiewaczek produkuje się za granicą? — a wszyscy prawie wypierają się swej narodowości, zmieniając nazwiska i formalnie wstydzą się, że są Polakami. I widziałeś którą lub którego, żeby tu przybyli do nas — żeby się dali poznać? — Nie, bo nie możemy tak hojnie zapłacić... Ot, naprzykład Kochańska występująca w Petersburgu, czy pokazała się aby raz we Lwowie, czy pamiętała, że ten Lwów dawał jej fundusze na wykształcenie artystyczne?... Zarabiając dziesiątki tysięcy miesięcznie, czy przyszło jej kiedy do głowy odwdzięczyć się temu miastu, choćby dobrym jakim datkiem dla ubogich?... Nie, ona woli zabawiać Moskali, spiewać na ich koncertach na cele dobroczynne i wstydzić się polskiego nazwiska... Niech sobie bałwochwalcy artystyczni podnoszą ją pod niebiosa, niech szczycą się, że pochodzi z naszego kraju — dla mnie obojętność jej dla swojej ojczyzny zawsze będzie wstrętną, której nawet tak głośna sława nie przygasi... Tak, tak, mój drogi panie, już tych artystów i tych trąbień o ich sławie mam póty... i doskonale znam sprężyny, któremi się nakręca opinię publiczną... Idź do którejbądź redakcji i zapytaj, jakto się sława artystyczna robi — to cię objaśnią. Reklama, nic tylko reklama przyjacielska i uproszona..

Starałem się przekonać pana konsyliarza że jest uprzedzony — nie dał mi mówić.

— Taki sam jesteś jak i drudzy. Stworzyliście sobie klasę admirujących się wzajemnie i tumanicie publikę... Sami bogowie dalibóg, tylko to nieszczęście, że nam każecie robić składki na nektar dla tych bogów...

Ot, pomyślałem sobie, gadaj tu z takim profanem; poczciwy konsyliarz nie jest wstanie pojąć różnicy talentu od zwykłej mrówczej pracy różnych doktorów. Dla niego każden artyzm jest blagą, a umysłowa przyjemność o tyle warta, o ile da się zważyć i zmierzyć łokciem użyteczności...

* * *

Mamy nareszcie pogodę i święta, co rzadko idzie w parze, zatem składając czytelnikom

najlepsze życzenia, aby jednej i drugich jak najprzyjemniej użyli, prosimy żeby dziwactwa konsyliarza nie bardzo brali na serjo i nie porównywali pani Święckiej z panią Kochańską, kiedy ją na drugi dzień ujrzą na scenie naszego teatru... Już ta sama okoliczność, że nie zapomniała o Lwowie i chętnie przybyła na prośbę nowej Dyrekcji, daje dowód, że nie wszyscy artyści nasi idą za przykładem Kochańskiej... że nie jest tak źle na świecie.

---

# KOMEDJA W PALAIS-ROYAL.

(Dokończenie)

## II.

Tymczasem kawaler schodził z czwartego piętra, złorzecząc filozofowi słowami, z których ten ostatni, gdyby je słyszał, śmiaćby się musiał.

Bohater macedoński powiedział raz w przystępie pesymizmu, stojąc przed beczką uczonego. „Gdybym nie był Aleksandrem, chciałbym być Diogenesem!“ — Daleki od takich wzniosłych poglądów był kawaler de Liriac. Cześć, jaką udawał przed filozofem na poddaszu — rozwiała się i zamieniła w nienawiść i zemstę.

Wsiadł do swej lektyki i polecił się zanieść w inną stronę miasta. Kazał się zatrzymać przed ładnym domem. Wyskoczył z lektyki, służący drzwi od sieni otworzył i kawaler wszedł do pokoju, gdzie na kanapie zastał leżącego mężczyznę, w wieku około 40 lat, z piękną, interesującą głową artysty o wyraźnej i regularnej twarzy.

— Dzień dobry, mój kochany Previllu! — powiedział przybyły.

Znakomity komik teatru francuskiego zeskoczył z kanapy i poprosił swego dostojnego gościa, aby zajął miejsce.

— Ach, kochany Previllu, znajduję się w fatalnem położeniu, z którego tylko pan jeden wyratować mnie możesz, jeśli żart ten podobać ci się będzie.

— Mnie się żart każdy podoba, panie kawalerze. Czem mogę panu służyć?

— Znasz pan bezwątpienia filozofa genewskiego, tego dziwaka Jana Jakóba?

— Tak jest. Widuję go bardzo często w kawiarni Regencji i grałem już tam z nim w szachy.

— Wybornie. Przypuszczam, że pan, który przyzwyczajony jesteś sto razy na rok zmieniać swą fizjonomję, będziesz w stanie do nieodróżnienia naśladować, chód, mowę, ruchy i ubranie filozofa genewskiego!

— Nie będzie to zbyt trudne.

— Nie wątpie, że się to panu uda, wszak jesteś Proteuszem! — Podjąłem się sprowadzić pana Rousseau do Palais Royal, do salonu pani de Genlis, gdzie go pragną zobaczyć. Byłem u niego, ale stanowczo odmówił.

— O, on to potrafi!

— Wskutek jego uporu przegram zakład, sto luidorów. Ale nie strata tak małej sumy mnie martwi i naprowadza na myśl zażartowania z tego filozofa, — nie, ale chciałbym choć przez jeden wieczór tryumfować, dokonawszy swoją dyplomacją tego, co nawet pani de Genlis się nie powiodło. Nazajutrz może cały Paryż wiedzieć o tym zmyślonym Rousse'au i śmiać się.

— Życzysz pan sobie więc?...

— Życzę sobie, żebyś pan grał rolę Rousse'au w salonie hrabiny de Genlis.

— Do licha, do licha! — mruczał Preville skrobiąc się za uchem — zdaje mi się to jednak zbyt śmiałem przedsięwzięciem.

— Ja biorę na siebie wszelką odpowiedzialność, a pan za rolę honorarium 50-ciu luidorów.

— Mogą tam jednak być obecne osoby, które bardzo dobrze znają filozofa...

— Nie, mój kochany Previllu! Nikt z towarzystwa, które się tam zbierze, nie mówił jeszcze nigdy z filozofem i ztąd to właśnie ta wielka ciekawość poznania go osobiście. Znają go tylko z daleka — prawie z portretu.

— Ale *mnie* zna każdy, panie kawalerze!

— Będzie więc największym tryumfem sztuki pańskiej, jeżeli każdy będzie widział w panu nie genialnego artystę Previlla, ale tego zrzędę filozofa Rousseau — i gdy wszyscy uwierzą w prawdziwość maski pańskiej.

— Rzeczywiście — szepnął znakomity artysta — myśl ta jest dla mnie tak pociągającą, że jej się oprzeć nie mogę. Jeśli pan bierzesz odpowiedzialność na siebie i odpowiadasz za następstwa, panie kawalerze, jestem gotów do komedji.

— Więc rzecz skończona — wyrzekł koniuszy hrabiego d'Artois — wstając. Będę znowu u pana i oznaczę dzień i godzinę umówionej wizyty. W oznaczony wieczór sam pana do Palais-Royal zawiozę, i wszystko tak urządzę, że nikt najmniejszego podejrzenia mieć nie będzie.

Przedsiębiorczy hrabia opuścił aktora i udał się do Palais-Royal do hrabiny de Genlis, której oświadczył, że Rousseau przyjął jej zaproszenie. Hrabinę wprowadziło to w najwyższe zdumienie i obsypywała kawalera mnóstwem komplementów z powodu jego zręcznej dyplomacji. Dzień i godzinę wizyty oznaczono, i ma się rozumieć, że szczęśliwy poseł podjął się zaproszonego o tem zawiadomić.

* * *

Gdy się to w Palais-Royal działo, Preville tymczasem stanął przed zwierciadłem i zaczął się wprawiać do nowej swej roli. Był on mistrzem w swej sztuce, mimikiem godnym podziwu i dlatego też łatwo mu przyszło fizjonomję swoją tak zmienić, że każdy co go widział, zdumiony był tem uderzającem podobieństwem.

Był on jeszcze tą pracą zajęty, gdy wszedł przyjaciel i kolega jego Molle, niezrównany w rolach pierwszych kochanków.

— Cóż do licha robisz Preville — zawołał zdziwiony przyjaciel.

Preville niestety posiadał wadę gadatliwości. Powierzył tajemnicę swą przyjacielowi. Molle bardzo zadowolony oddalił się od niego i jeszcze tego samego dnia, podczas próby teatralnej powiedział swej pięknej przyjaciółce, pannie d'Oligny, która odtwarzała naiwne kucharki, że Preville w salonie hrabiny de Genlis wystąpi jako „Rousseau.“

Panna d'Oligny w pół godziny opowiedziała tę tajemnicę swej koleżance, Zofii Arnould.

Dowcipna Zofija, dnia tego była na wieczorze u barona Holbach i miała przy stole za sąsiada jeszcze nie posiadającego wtedy szlachectwa, Grimma, który zawsze polował na dowcipne nowinki do swej *Correspondance litteraire.*

W tem towarzystwie, które nie bardzo przyjaźnie dla filozofa z Genewy było usposobione, pozwalano sobie tysiącznych dowcipów na rachunek tego „głupca“ Rousseau.

Zofia ulegając, jak zwykle, swojej gadatliwości, nie mogła powstrzymać się od kilku uwag, które podnieciły ciekawość towarzystwa i obrzucona pytaniami, wyznała *tajemnicę*, która obiegła cały stół w około.

Grimm, wyjął swój dzienniczek i porobił notatki. Było to czternastego, a zatem w przeddzień ukazania się jego korespondencji.

Nazajutrz gdy pisał literackie wiadomości i dwadzieścia dworów zawiadomił o napaści na cześć wielkiego Rousseau'a, wszedł do niego Diderot, który podówczas brał udział w owej korespondencji

Znakomity Diderot był najwierniejszym przyjacielem zrzędy Rousseau'a którego kaprysy znosił z dobroduszną cierpliwością.

Diderot rzeczywiście dobrze mu życzył i był oburzony, że pozwalają sobie żartować z genialnego człowieka. Opuściwszy Grimma udał się wprost na ulicę Platrière, na poddasze filozofa genewskiego i zawiadomił go o planie kawalera de Liriac. Rousseau wpadł w największą złość. Zaklął się, że musi być na wieczorze u hrabiny de Genlis, by zdemaskować Previlla w sposób haniebny, a kawalerowi de Liriac dać wieczną pamiątkę.

## III.

Tysiąc ust rozniosło już tę wieść po Paryżu, a dzięki zapobiegliwości Grimma nawet zagranica zawiadomioną już była o zdarzeniu, którego widownią miał być salon hrabiny de Genlis. Oczywiście przeto wiadomość ta nareszcie dojść musiała i do tej pani, która właśnie paść miała ofiarą tego oszustwa. Hrabina de Genlis, a zarazem także margrab. de Silleri, była wtedy jeszcze młodą i piękną i nie tylko dla rozumu odbierała hołdy dworu, którego blaski ją opromieniały. Nie poczuwała ona jeszcze wtedy, że cała ta otaczająca ją wspaniałość kiedyś runie, że ona sama opuści Francję i tułać się będzie po świecie. Gdyby jej kto był przepowiedział przyszłość, byłaby się z tego śmiała, jak z jakiej fantazyjnej bajeczki. Jakżesz mogło, tej pięknej, młodej i bogatej hrabinie wpaść na myśl, że wpadnie ona kiedyś w największą nędzę, że będzie zmuszona pracą własnych rąk zarabiać na chleb powszedni, wyrabianiem kwiatów, koszykarstwem, i pisaniem miernych romansów!

Była więc zawiadomioną o mistyfikacji, której paść miała ofiarą i przedsięwzięła odpowiednie środki. Jej zamiarem było, dać się komedji spokojnie rozwinąć, a na wieczorze dopiero zmyślonego Rousseau i kawalera de Liriac w danej chwili zdemaskować.

Niestety nie mogła ona utaić radości, jaką odczuwała z odniesionego zwycięztwa, które już sobie przyznawała, i swych pięknych usteczek zamknąć pieczęcią tajemnicy. Powierzyła ten sekret księżnej orleańskiej, która pospieszyła powtórzyć go również pod pieczęcią tajemnicy swemu małżonkowi. Ale Monseigneur był właśnie osobą, która się założyła z kawalerem o sto luidorów, że mu się nie uda filozofa do *palais-royal* sprowadzić. Monseigneur otworzył szeroko

oczy i zrozumiał, że kawaler chce go oszukać o sumę zakładową.

Spotkawszy się z kawalerem, dał mu do zrozumienia, że o planie jego wie nie tylko on ale i hrabina de Genlis.

Nie było czasu do stracenia, gdyż dzień zabawy już nadszedł, i już zapalono światło w salonie. Upadły zupełnie na duchu kawaler wsiada do powozu i jedzie pędem do mieszkania Previlla.

Wszedłszy, cofnął się zdumiony widząc w osobie tego znakomitego komika zupełnego Rousseaua w ciemno bronzowej sutannie.

„Jestem gotów, panie kawalerze! — woła mniemany Jan Jakób.

„Ach, mój kochany Previllu“ — westchnął kawaler— wszystkie twoje starania są nadaremne, plan nasz odkryto. Musiałeś się wypaplać — Previllu!“

„Nie przypominam sobie“.

„O wszakże to inaczej nie możebne! Książę, księżna, cały świat, hrabina sama zna nasz plan i czekają tylko na spełnienie go, by nas złośliwie wyśmiać, zhańbić przed całą Europą! Nie, Prewillu, nawet myśleć o tem nie możemy, by komedję tę na scenę wprowadzić. Wszystko stracone.“

„Ja sam to widzę! Do licha, gdyby mnie poznano w salonie hrabiny de Genlis w roli Roussaua, w ładną bym się dostał pułapkę! Co za szczęście, żeś mnie pan jeszcze dosyć wcześnie uprzedził i ostrzegł, panie kawalerze!

— Tak, tak Previllu!

Gdy słynny aktor zrzucał ciemno bronzową amerykańską sutannę i odziewał się w elegancki szlafrok, młody kawaler ubolewał, że się tak dobrze obmyślany żart nie udał. W złym humorze tarł czoło, by coś nowego obmyślać dla zręcznego wykręcenia się z tego smutnego położenia. Próżne były jednak jego mozoły. I Preville nadaremnie mózg swój wysilał i on nie wymyślił żadnej drogi do wyjścia z tego labiryntu.

I oni co chcieli zadrwić sobie z drugich, po długim namyśle doszli do smutnego przekonania, że są sami narażeni na śmieszność w tej całej komedji.

Tymczasem w Palais Royal rozpoczął się wieczór i zaproszeni zaczęli się zbierać; za każdem otwarciem się drzwi, obecni szeptali pomiędzy sobą.

Nieszczęśliwy kawaler ze zmyślonym Rousseau byli celem wszystkich złośliwości i czekano ich z niecierpliwością.

Nawet miła gospodyni, piękna, jaśniejąca hrabina de Genlis, już z niecierpliwością na zegar spoglądała. I książę Orleański chodził bardzo zadowolony i pod sekretem opowiadał swoim zaufanym, że wygrał zakład i że kawaler zapewne ukrył się przed szyderczym śmiechem świata.

Zdawał się mieć słuszność. Czekano i czekano, a młody szlachcic nie przychodził. Nagle otworzono szeroko drzwi i będący na służbie lokaj głośno oznajmił:

— Pan Rousseau!

Ogólne „ah!“, zadowolenie i złośliwości wyrwało się ze wszystkich pięknych i niepięknych usteczek — tego świetnego zgromadzenia.

Wszedł mężczyzna w ciemno-bronzowej sutannie, jaką tylko jeden człowiek wtedy w Paryżu nosił.

Człowiek w bronzowej sutannie, zmarszczył brwi i spojrzenie pełne ognia, nienawiści i złości rzucił na zgromadzenie, które szeptało i śmiało się i jakby czekając tej chwili, jednocześnie uderzyło w ręce i rozległo się głośne:

— Brawo, brawo, Preville!

— Nasłuchałem się głupstw, pani — rzekł ze złością — i mogę tylko żałować, żem zaproszeniu jej zadość uczynił. Sądziłem, że odkryję tutaj nikczemną intrygę, tymczasem widzę, że mnie tu podstępem zwabiono. Ironia za ironię! Przyjm pani wyrazy mojej pogardy — hrabino! — żegnam!...

Odwrócił się z dumą i szedł do drzwi odprowadzony hucznemi oklaskami.

— Brawo Preville — brawo — brawissimo! — wołało za nim całe towarzystwo pokładając się od śmiechu.

— Adieu, adieu Preville, kłamany Janie Jakóbie!

Słowa człowieka w ciemnej sutannie wywarły jednak na pani de Genlis głębokie wrażenie.

Wydawało jej się to czemś więcej, niż komedją.

— Mój Boże, gdyby to możebne było! — mówiła do siebie. — Gdyby to jednak był... on, miałby z pewnością prawo oburzać się na takie przyjęcie!

— Pan Jussieu! — zarekomendował w tej chwili lokaj nowo przybyłego.

Znakomity botanik i dyrektor ogrodu botanicznego wszedł i zdumiony nieco zwrócił się do pani de Genlis.

— Spotkałem właśnie na schodach pana Rousseau — przemówił po pierwszem przywitaniu — zdawał się być w najgorszym humorze i widocznie jakąś szczególną urazę czuje do pani, piękna hrabino!

— Byłże to na prawdę Jan Jakób Rousseau, panie Jussieu?

— Z pewnością! Należę do jego najbliższych znajomych i codzień w czasie lata towarzyszyłem mu w botanicznych ekskursjach.

— O mój Boże! — zawołała przerażona hrabina. — Niechaj za nim pobiegną! Niech go napowrót wprowadzą!

Służba w przedpokoju dowiedziawszy się o co idzie, pobiegła też zaraz korytarzem z wielkich schodów, wołając:

— Panie Rousseau! Panie Rousseau!...

Jednakże było już za późno.

Filozofa nie było już w Palais-Royal. W salonie panowało wielkie zamięszanie. Śmiano się z hrabiny, która nie mogła się opanować i złorzeczyła kawalerowi, który wszedł właśnie na swoje nieszczęście.

— Kawalerze, kawalerze! — wybuchając na jego widok wołała hrabina de Genlis. — Jesteś sprawcą całego nieszczęścia!

— Ja? a to dlaczego? — Pytał jąkając się młody szlachcic i nadrabiając niewinną miną.

— Pan jesteś winien; żeśmy prawdziwego Rousseau wzięli za udanego i dziwacznie się z nim obeszli!

— Nie rozumiem.

— Pan Rousseau, ten prawdziwy pan Rousseau, był właśnie tutaj...

Kawaler swobodniej odetchnął.

— Ah! piękna hrabino, czego więcej sobie życzysz? Przyrzekłem pani, tego upartego filozofa sprowadzić do jej salonu i rzeczywiście przyszedł. Wypędzono go, jak wnoszę ze słów pani. Ale to przecież nie jest moją winą!

— Myśleliśmy, że to jest Preville, którego nam pan zamiast „Rousseau'a“ miał przysłać— mówiła zmięszana hrabina.

— O, jakżeż mogła pani coś podobnego przypuścić? — Zawołał młody szlachcic z dobrze udanem oburzeniem.

— Jakżeby mi mogło nawet wpaść na myśl igrać z nazwiskiem tak genialnego człowieka, nigdy, przenigdy!

— Ale cały świat utrzymywał...

— Było to wszystko zmyślone, przezemnie tak obrachowane! Przypuszczasz pani, że w inny jakikolwiek sposób można było filozofa genewskiego sprowadzić do Palais-Royal? Przekonałaś się pani sama, że to jest niemożliwe. Tylko moja przemysłowość mogła urzeczywistnić ten cud! — Nie ufaj piękna hrabino na przyszłość paryskim plotkom! Ale ufaj zawsze Liriacowi. Widzisz hrabino, jak się los mści, jeśli się Liriacowi nie ufa!

Kawaler zwycięzko stanął na piedestale, a hrabina czuła się pobitą. Przeczuwała, że on jest sprawcą tego złego — ale wśród chwilowego zamięszania nie mogła przejrzeć całej intrygi.

Pan Rousseau był rzeczywiście w Palais-Royal, kawaler dotrzymał więc słowa. — Więcej nawet — bo wygrał zakład. Z kwaśno-słodkim uśmiechem zbliżył się do niego książę Orleański i wręczył mu rulon złota.

Pani de Genlis, szczerze żałowała, że autorowi „Emila“, taką przykrość w jej salonie wyrządzono. Napisała do niego kilka słów uniewinniających — ale bilecik jej odesłano nie rozpieczętowany.

Dwoje tych ludzi, po tem jednem zetknięciu, nie widziało się już nigdy. Rousseau umarł 1778 roku na długo przed rewolucją francuską, którą pani de Genlis przeżyła.

Pochylona zmartwieniem, zubożała zupełnie, w późnym wieku zajmowała się pisaniem drobnych powieści i romansów, szarpiąc pamięć szlachetnych a nieżyjących już: Monteskiusza, Woltera, Russa i Diderota, bo dzieła tych bohaterów ducha — i to nie bez słuszności — uważała za podstawy nowego, a przez nią znienawidzonego porządku świata.

---

## KRONIKA NAUKOWA.

(Odkrycie pierwiastków chemicznych, nadających tytoniowemu dymowi aromat).

Wszelkie usiłowania, ażeby odosobnić aromatyczny pierwiastek tytoniowego dymu, nie miały dotychczas powodzenia. Dr. Le Bon wszakże, przez stosowne postępowanie, potrafił wyciągnąć z tegoż dymu dwa ciała, mające aromatyczny, nader charakterystyczny zapach.

Przepuszczając dym tytoniowy przez kwas siarczany, uwalnia się go od nikotyny, i wydaje on wówczas zapach przyjemny i nadzwyczaj przenikliwy. Przy niektórych tytoniach, służących np. do wyrobu cygar Regalja-Britannica, zapach ten jest tak mocny, że wystarcza dwóch cygar, do nadania 50 centimetrom sześciennym wody zapachu, nader przyjemnego, który utrzymuje się bez zmiany przeszło rok cały.

Płyny aromatyczne, tak powstałe, różnią się nieco zapachem, stosownie do gatunków ty-

toniu, z których je otrzymano. Pospolity *Scaferlati*, daje zapach mniej mocny i mniej przyjemny, aniżeli pewne gatunki tytoniu z Hawany.

Ażeby odosobnić te produkty aromatyczne, Dr. Le Bon dystyluje wodę, w której zgęścił się dym, pozbawiony wprzód nikotyny za pomocą kwasu siarczanego. Najmocniejsze z ciał aromatycznych przechodzi do pierwszych produktów dystylacji. Najsłabsze daje się pochwycić dopiero wtedy, gdy płyny skoncentrowano przez wielką liczbę następujących po sobie dystylacyj.

Obydwa pierwiastki tak otrzymane są cieczami; pierwsza mało rozpuszczalna, druga wcale nierozpuszczalna w wodzie. Ostatnia jedynie posiada zapach, przypominający tytoń. Zapach pierwszej cieczy jest bardzo przyjemny i tak przenikliwy, że zanurzenie w niej laseczki szklannej i zamięszanie nią następnie wielkiej ilości wody, wystarcza do nadania tej ostatniej bardzo silnego zapachu.

Stosunek tego pierwiastku bywa zmienny, stosownie do użytego tytoniu. Jest on obfitszy w tytoniach Hawany i Lewantu, aniżeli w tytoniach pospolitych. W tytoniach Lewantu, dym zawiera go najmniej jeden gram na kilogram spalonego liścia.

Jest to, powiada dr. Le Bon, kompozycja nadzwyczaj trująca i co najmniej tak niebezpieczna jak nikotyna. Dwudziesta część kropli wystarcza do zabicia żaby. Śmierć przychodzi nagle, wskutek paraliżu, który się rozpoczyna od części ciała przednich. Wdychana przez czas jakiś substancja ta aromatyczna, wywołuje różne zaburzenia, a mianowicie powtarzające się zawroty głowy.

Dr: Le Bon zdołał oznaczyć skład tylko jednego z tych produktów, zresztą najważniejszego. To ciało aromatyczne, tak żywej woni, któremu dym tytoniowy winien po większej części swój zapach, i którego własności trujące są tak charakterystyczne, jest alkaloidem i nazywa się *collidyną*.

Zasada ta, była już dostrzeganą w wytworach suchej destylacji różnych ciał organicznych, lecz nikt nie podejrzywał jej własności fizjologicznych i fakt, że dym tytoniowy zawiera inny alkaloid oprócz nikotyny, również jak ona toniczny, był zupełnie nieprzewidziany.

O drugim z pierwiastków aromatycznych, którego punkt wrzenia jest daleko wyższy od collidyny, a zapach zupełnie inny, Dr. Le Bon nie mówi, gdyż nie otrzymał go dotąd w tak dostatecznej ilości, ażeby mógł oznaczyć skład jego chemiczny.

## BIBLJOGRAFJA POLSKA.

— *Deslys.* Dla serca i sumienia, albo różowa podwiązka, romans z francuskiego. 8-ka, str. 224. Warszawa 1881. 1 zł. 50 ct.

— *Dzieduszycki Wojciech hr.* Studja estetyczne tom II, 8ka str. 266. Lwów 1881. 1 zł. 40 ct.

— *Gawalewicz M.* Po drodze, humoreska sceniczna w jednym akcie oryginalnie napisana. 8-ka, str. 54. Warszawa 1881. 64 ct.

— *Karłowicz Jan.* Poradnik dla osób wybierających książki dla dzieci i młodzieży. 8-ka, Wilno 1881. 60 ct.

— *Klaczko Julian.* Wieczory florenckie (causeries florentines) z upoważnienia autora tłumaczył St. Tarnowski. 8-ka, str. 189. Warszawa 1881. 1 zł. 80 ct.

— *Kolb Maksymiljan.* Teorja ogrodnictwa z niem. przełożył i uzupełnił Aleksander Szanior (Biblioteka ogrodnika polskiego Tom I). 8-ka, str. 380. Warszawa 1880. 1 zł. 60 ct.

— *Kościałkowska W. Z.* Władysław Syrokomla. Studjum literackie. 8-ka, str. 48. Wilno 1881. 45 ct.

— *Kraszewski J. I.* Raptularz Pana Mateusza Jasienieckiego z oryginału przepisany. Mutatis mutandis. 8-ka, str. 219. Warszawa 1881. 1. zł 50 ct.

— *Marrené Walerja.* Przesądy w wychowaniu. Studjum pedagogiczne. 8-ka, str. 178. Wilno 1881. 1 zł. 80 ct.

— *Matylda czyli loch podziemny* powieść (z angielskiego) przez Julję Taczanowską. 8-ka, str. 387. Warszawa 1880. 1 zł. 50 ct.

## Wiadomości z kraju i ze świata.

### Literackie, artystyczne i naukowe.

*** W przyszłym miesiącu ukaże się nowe dzieło Wiktora Hugo p. t. *Les quatre vents de l'Esprit*; dzieło to dzieli się na cztery części i stanowić będzie dwa wielkie tomy.

*** W niedługim czasie już opuści prasę słownik lekarski polski.

Słownik rzeczony zawierać w sobie będzie tłómaczenie polskie wyrazów łacińskich, francuskich niemieckich i niektórych angielskich, tudzież przekład wyrazów polskich na język łaciński i niemiecki lub francuski.

W słowniku tym uwzględniono też szczegółowo nauki pomocnicze.

Z botaniki zamieszczono około półtora tysiąca, z farmacji i farmakognozji około półtrzecia tysiąca wyrazów, z zoologji około trzystu, wreszcie z weterynarji około siedmiuset.

W ten sposób słownik ów będzie pożytecznym podręcznikiem nietylko dla lekarzy, lecz również dla farmaceutów i weterynarzy.

W opracowaniu słownika udział wzięła komisja terminologiczna, złożona z profesorów doktorów: Stanisława Janikowskiego, Józefa Oetingera i ś. p. dra A. Kremera, przy współudziale prezesa akademji umiejętności, prof. dra Józefa Majera i wielu lekarzy i przyrodników polskich.

Uwagi Towarzystwa lekarskiego warszawskiego oraz sekcji lekarskiej Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu zostały przy opracowaniu słownika uwzględnione.

*** W tych czasach opuściła prasę publikacja *sui generis*, która i zewnętrzną swą formą i ilustracjami zwraca uwagę.

Jestto „Przewodnik po Warszawie“, w czterech językach: polskim, rosyjskim, niemieckim i francuskim, opatrzony wizerunkami ważniejszych gmachów i okolic Warszawy.

Wzorem wielkich hotelów we wszystkich prawie stolicach, warszawski hotel Europejski książkę tę rozdaje bezpłatnie każdemu ze swoich gości.

Cudzoziemiec znajdzie tu praktyczne przepisy i wskazówki syreniego grodu, napisane w dostępnem dlań języku.

Układ książki i staranność wydania nie pozostawiają nic do życzenia.

*** W sierpniu r. b. odbędzie się w Londynie międzynarodowy kongres lekarski. Kongres ten trwać będzie dni siedm; językami urzędowemi są języki francuski, angielski i niemiecki. Kongres podzielony został na kilka sekcyj; zaproszenia już rozesłano.

### Społeczne i ekonomiczne.

*** Sąd krajowy wiedeński w roku 1880 zezwolił na 225 rozwodów.

W 55 wypadkach domagali się rozwodu małżonkowie, w 117 wypadkach małżonki, a w 53 wypadkach obie strony.

Jedna para małżeńska brała ślub jeszcze w roku 1846; „on“ liczył lat 75, „ona“ 67.

Przy innej znów parze połączonej ślubem małżeńskim dopiero od roku, „on“ miał lat 69, a „ona“... 26!

*** W rozmaitych krajach na kuli ziemskiej istnieje obecnie 173 stolic arcybiskupich, 710 stolic biskupich.

Kardynałów jest 70 ciu.

Ogólna liczba patrjarchów, prymasów, arcybiskupów, biskupów, nuncjuszów apostolskich, biskupów *in partibus infidelium*, włączając i tych, którzy opuścili swoje stolice, wynosi 1146.

*** Ludność Warszawy. Podług ostatniej statystyki, ludność Warszawy z początkiem roku bieżącego wynosiła osób 379,763 (w liczbie tej mężczyzn 182,405, kobiet 197,358).

Z ogólnej cyfry mieszkańców Warszawy, oprócz garnizonu wojsk i osób przejezdnych, przypada na stałych mieszkańców 233,148 (mężczyzn 111,156, kobiet 121092) i niestałych 146,615 (mężczyzn 71,249, kobiet 75,366).

Podług religji, miasto liczy: katolików 222,847 (mężczyzn 106,508, kobiet 116,339); prawosławnych 11,113 (mężczyzn 5,851, kobiet 5,262); ormian 206 (mężczyzn 106, kobiet 100), protestantów 18,320 (mężczyzn 9,011, kobiet 9,309); izraelitów 127,095 (mężczyzn 60,811, kobiet 66,284); mahometan 45 (mężczyzn 36, kobiet 9); sekciarzy 137 (mężczyzn 82, kobiet 55).

Ludność Warszawy, podług stanu i zajęcia obojga płci, dzieli się: szlachty dziedzicznej 14,415, szlachty osobistej 6,647, duchowieństwa: zakonników 66, świeckich 321, obywateli honorowych dziedzicznych 1,123, obywateli osobistych 1,340, kupców i przemysłowców 42,246, rzemieślników 51,691, mieszczan 234,149, dymisjonowanych i zapasowych żołnierzy 16,528, cudzoziemców 11,237.

Oprócz tego przybyło w Warszawie w ciągu roku oficerów różnych stopni i broni 1,136.

*** P. Maciej Wszelaczyński, właściciel dóbr ziemskich, wydał własnym nakładem „Wykaz ryb, żyjących w Serecie i jego dopływach.“ Wykaz ten zebrał, ułożył i uwagami zaopatrzył p. Marjan A. Bartu, nauczyciel ludowy.

*** Magazynem mód w czysto amerykańskim stylu jest zakład Jordana, Martsha i Spółki w Bostonie.

Zatrudnia on w sezonie około tysiąca, a w innym czasie około czterechset szwaczek.

Przy przebudowywaniu zakładu kazali właściciele wznieść w jednym rogu budynku wspaniałą wieżę okrągłą i w takowej wielki salon, którego podłoga jest woskowaną, zaopatrzony jest w fortepian koncertowy i scenę.

Tutaj to zabawiają się pracownice w godzinach południowych i wieczorami czytaniem, tańcem i śpiewem.

Raz na tydzień zaś odbywają się tu odczyty, dawane są mniejsze sztuki, urządzane obrazy, albo też w inny sposób czynione starania zdążające ku kształceniu i zabawie pracownic...



Z Drukarni „Gazety Narodowej“ — Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.